

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok VI.

Warszawa, dnia 23 Maja 1914 roku

№ 21.

Andrzej Strug.

„Pieniądz”

Wszelkie prawa autor-
skie i wydawców za-
strzeżone.

Powieść z obcego życia.

20

Pewnego dnia, błądząc, swoim zwyczajem, po mieście, zaszedł w dzielnicę amerykańską. Było tu pusto i martwo. Zrzadka przemknął samochód, wysunął się z wielkiej bramy jednego z tak zwanych w Paryżu „chateaux”. Snuł się po ulicy ludzie w liberyach, ale okna były osłonięte żaluzjami, ruch przechodniów skąpy.

Shurman przystanął na placu „Stanów Zjednoczonych” i rozejrzał się wokoło. Mieszkali tu zwarta masa jego ziomek. Dziwna emigracja...

Jakiś prad nieprzeparty gwałcił ludzi zza oceanu, z własnej ojczyzny, którzy byli nanami, na obcą ziemię, gdzie chcieli być jeno gośćmi. Uciekali nazawsze, wymykali się bodaj na pare miesięcy. Tam pracowali, walczyli, zmagali się ze sobą o panowanie nad światem. Tutaj żyli.

Ze starego świata ciągnęła za morze nieustająca wędrownica narodów, pedzona głodem; parli tam na lepszy byt, na wyższy zarobek. A ci, na których pracowali, śpieszyli tutaj, używać.

Shurman, który uwielbiał swoją rasę, swój kraj i wszystko, co amerykańskie, nie rozumiał tego prądu. Miał pogardę dla globtrotterów, dla rozsiansych po wszystkich stolicach kolonii swoich współziomek. Niedalek, jak wczoraj, wygwałt brutalnie jakiegoś reverend'a, który przyszedł do składki na nową, jeszcze jeden kościół amerykański w Paryżu.

— Ufunduj im, pan, jeszcze jeden dom publiczny — na to dam, niech tu przedziej pomarnieją!...

Irytowała go wiecznie, a nieraz przerażała lekkomyślność tych ludzi.

Wybrani przez los do panowania nad światem, do wytworzenia nowej, potężnej rasy królów ziemi — tonęli w pospolitem, ordynarnym użyciu życia. Zaledwie jakaś głowa genialna i nadludzka praca przy tajemniczej i nieobliczalnej pomocy szczęścia zbuduje fortunę, — na której można się już wznieść do rozciągnięcia prawdziwej, nieograniczonej władzy nad życiem — jakiś szatan hamuje rozpęd w dążeniu, obezwładnia umysły, odbiera wolę. Jakże często zaraz w następnym pokoleniu tajemnicza choroba odbiera dziedzicom wszelką chęć do potęgi, czyni z synów — spadkobierców najdzielniejszych ojców — niedzne, bezczynne i martwe postacie, które nie wiedzą, co począć z ojcowską fortuną. Niezdolni do prowadzenia wielkiego dzieła, zagrzebani w beznamiętnych nieciechach, lub dławieni okropną nudą, wegetują, marnieją w próżniactwie, lub, dotknięci jakąś manią, pędzą żywot spokojnych waryatów. Miotają się w szaleństwie, jakgdyby ich dusił ciężar bogactwa.

Już zjawiają się tu i owdzie rozgłośni na cały świat marnotrawcy, którzy po całym świecie rozsypują złoto, jakby się go chcieli pozbyć co prędzej. Wszyscy wiedzą nieprawdopodobne szaleństwa ich obłąkanego żywota, bajki i legendy roznoszone przez reporterów, czytowane z oburzeniem przez całą ludzką. Są to rzeczy nie do wiary w swoim rozpasaniu.

A mało kto wie, że jednak rzadko któremu z tych marnotrawców, choć wyprawiają wszystko, co zdoła wynaleźć nieokiełznana fantazja ludzka, uda się roztrwonić całkowity swój normalny dochód roczny.

Są wreszcie inni szaleńcy. Wydała Ameryka i Henneway, dobroczyńcę ludzkości, opiekuna kuli ziemskiej.

Shurman odwiedził go któregoś dnia. Poszedł, nie mając nic lepszego do roboty — w Paryżu bowiem siedział jedynie dlatego, żeby przyjść do zupełnej równowagi nerwowej przed wielką kampanią, wymagającą jasnej myśli i wielkiego wysiłku. Tam, w domu, nie powinny go ściagać głupie mary.

Obu braci Henneway znał kiedyś dobrze. Ale kiedy obadwaj wycofali się z czynnego życia, stosunki się przerwały. Posiadali oni życzliwość Shurmana, gdyż wraz z nimi usunął się z pola walki najpotężniejszy na kuli ziemskiej, skupiony w jednych rękach kapitał, a wśród zamętu, spowodowanego zachwianiem równowagi pieniężnej, Tom Shurman zagarnął wiele z drobnych fortun, obalonych w krachu. Jednak głęboka była jego pogarda dla tegich ongiś działaczy, którzy ustali w sile wieku w połowie drogi.

Henneway mieszkał skromnie w okolicach parku Monceau. W wewstribulu powitał go i uśmiechnął się doń przyjaźnie, jako do starego znajomego, ten sam Hannibal, murzyn olbrzymiej postawy, o łagodnej twarzy dziecka, który ongiś wyrzucał za drzwi natarczywych agentów giełdowych lub zrozpaczonych bankrutów, a teraz anonsował ambasadorów, ministrów, a nieradko i przejezdnych monarchów.

— Witam cię, Shurman! — Bardzo mi miło, żeś przyszedł. Interesów żadnych oddawna już nie prowadzę, więc zapewne przyszedłeś po starej znajomości, z prostej przyjaźni. Tembardziej mi to cieszy...

Shurman spostrzegł w nim wielkie zmiany. Odmłodniał i zeszczupłał, uczynił się uroczyście i namaszczony, nauczył się mówić górn-

i patrzył z pewnem jakby aktorstwem.

— Bawię tu w przejeździe i wstąpiłem do ciebie, Henneway, dowiedzieć się, co porabiasz i jak się tam czujesz? No i złożyć ci mój hold...

— Do holdów nigdy nie byłeś skory, Shurman. Nie udawaj i teraz... Wiem, że mnie nie rozumiesz. Niestety, wielu jest takich w twojej sierze.

— Owszem. Cenię cię, jak wszyscy na obu półkulach. A co słyhać u brata?

— To chory człowiek. Nie umiał sobie radzić. Bardzo biedny... Bardzo...

— Doprawdy, wielka to klęska być aż tak strasznie bogatym...

— Tylko bez szyderstwa, Tom. Jeszcze cię rozpiera dumą świata. Jeszcze ślepe oczy twojej duszy...

— Dusza. Znowu wielkie słowo! Zapomniałeś mówić po naszymu. Odpowiedz prosto, zwyczajnie. Dobrze ci teraz? Lepiej, niż było?

Henneway stropił się. Na uroczystym jego obliczu odbił się jakby przestrah. Oddawna już nikt nie ośmielił się zaczepić go tak obcesowo. Chciał się obrazić. Ale bał się z czemś zdradzić. Musiał się liczyć z Shurmanem, przez którego wyraźnie mówiła opinia potężnego środowiska.

Uśmiechnął się dobrotliwie, ale wygolone wargi drgały mu z podrażnienia. Shurman zupełnie po chamsku, po swojemu zajrzał mu do głębin duszy. Już zapóźno było zasłonić się obrazą. Trzeba było walczyć i zwyciężyć.

— Pamiętasz? Rozmawialiśmy po raz ostatni przed jedenastu laty, kiedyśmy wraz z bratem postanowili zlikwidować nasze interesy.

— Pamiętam, przecie umyślnie po to przyjechałem do was. Myślałem, żeście powaryowali.

— Myśmymy dopiero wówczas przyszli do rozumu! Znaleźliśmy punkt wyjścia, cel życia... I cała ludzkość przyznała nam rację.

— Jeszczeby też! Dziady z całego świata nadstawiły dziurawych czapek. Zawyli z zachwytu gazetciarze. I ten ciekawy pan—tu Shurman wskazał palcem na wielki portret cesarza Wilhelma II-go, wiszący na ścianie — też odpowiedział na twój manifest stekiem górnolotnych frazesów i racył cię wziąć pod swoją cesarską opiekę... Henneway! Ja się ciebie pytam szczerze, po ludzku... Nie opowiadaj mi rzeczy, które dobrze znam. Owszem, jesteś przyjacielem ludzkości. Światu z tobą wygodnie. Wszędzie sięga twoja chwała. Naturalnie. Ale ja się pytam, czyś znalazł spokój własny? Czy ci dobrze? Dostyć ci samej sławy?

— Shurman, nie irytuj się, bo ja swojego życia już nie odmienię.

— Nie o to idzie. Ani nie będę cię przekonywał, ani bym przymuszał, gdybym mógł. Każdy jest wol-

ny! Ale nigdy nie zrozumieć, żeby ci mogło być lżej teraz, rozdając pieniądze na prawo i na lewo, niż wówczas, kiedyście z bratem budowali żywe dzieło i tworzyli wokoło siebie wielki ruch! Wówczas byłeś wielkim człowiekiem. Teraz jesteś workiem z pieniędzmi, z którego czerpie obu rękoma, kto tylko chce!

Henneway zerwał się z fotelu bardziej zdumiony, niż urażony.

— Jakto?! To czynić dobro ludzkości znaczy mniej, niż wyduszać ze świata pieniądze? Dopomagać nieszczęśliwym, to gorzej, niż wyzyskiwać pracę ludzką? A kolosalne szachrajstwa? A rozbójnicze wojny? Lepsze to, niż szerzyć dzieło pokoju?! Coś ty powiedział, Shurman? Bój ty się Boga!...

— Wiem, co mówię. Daruj, że nie umiem gadać o niczem, jak francuz. Jeżeli tu przyszedłem, to dlatego, że mnie zawsze bardzo obchodziśz. A jeżeli tu jestem, to przecie nie będziesz gadać o pogodzie. Jak nie chcesz mówić po ludzku, to sobie pójdę.

— Shurman, nie irytuj się! Siadajże...

— Przed chwilą nawymyślałeś mi, niczem socjalista na mityngu ludowym. Dobrze. Zdarzają się cuda, że Henneway'e stają się doktrynami. Ale bądź konsekwentny... Wycofałeś swoje pieniądze z „szachrajstwa i rozboju“, dobrze. Ale co na to miejsce tworzysz? Rozdajesz miliony. To niewiele. To jest nie! Stwórz z tych pieniędzy coś wielkiego, coś bezinteresownego dla swego narodu lub dla całej ludzkości. Powtarzam: stwórz!...

— Jeżeli to, co czynię, nie jest tworzeniem, to powiedz mi, co znaczy „tworzyć“?

— Jeżeli mnie nie chcesz zrozumieć, to napróżno będziemy gadać.

Henneway drżącymi ze zdenerwowania rękoma zapalał cygaro. Shurman rozglądał się po gabinecie. Oprócz Wilhelma, odkrył jeszcze portret Edwarda VII. a na biurku stała wielka fotografia króla bułgarskiego z własnoręcznym podpisem i dedykacją. To go rozśmieszyło.

— Shurman! Z czego się śmiesz?!

— Jak ty możesz być w zgodzie ze wszystkimi monarchami świata? Cóż ty poczniesz, jak przynadkiem zaczną ze sobą woiować? Ha, ha!... Tylu królów — jednego tylko brak: Henneway'a, króla kolejiowego i króla czynu, odwagi, geniuszu... Smutna, pożałowania godna abdykacja!

— Ja szczycę się tą abdykacją!

— Tak mógłby powiedzieć jakiś Tołstoj... Nie! Człowiek nowoczesny nie „rozdaje majątku ubogim“, jak to zaleca Pismo Święte, a buduje. Chyba wiesz dobrze, jak kolosalny gmach mógł stanąć za hennewayowskie miliardy. Ale ty jesteś tylko filantrop...

— Od kiedy to z szyderstwem wymawia się to zaszczytne miano?

— Odkąd wielki Henneway, genialny twórca życia, skapitulował przed życiem!

— A cóż miałem robić, u dyabła? Bez końca, aż — do absurdu gromadzić miliony?

— Coś miał robić? Sięgnąć! Brać panowanie w swoje ręce! Narzucić swoją wolę światu! Skierować ludzkość na taka drogę, na jakąbyś zechciał. Czynieć wielkie przemiany, wielkie przewroty. Wszystko można, mając miliardy i wolę. Ot, dlaczego szydę — boś ty Henneway — bo tobie nie było wolno tak uczynić! Jabym uczynił coś innego, gdyby mi zbrzdłło gromadzenie milionów i zakładanie trustów.

— Przypuśćmy. I cóżbyś robił?

— Gdyby mi było tak dalece żal żydów... Twój im dał, zdaje się, pięć milionów... A jabym ich uwolnił z jarmu! Armenia... Czemuś nie zmiażdżył Turcyi? Mógłbyś, ale tyś tylko dał znowu bare milionów. Bardzo, widzę, polubiłeś uciśnione narodowości. Ale wszystko na małą skalę. Czemu ci nie przyszło do głowy coś naprawdę wielkiego? Ileż to na świecie do zrobienia! Ileż to zadań już gotowych, wypracowanych, którym jednak nowoczesne państwo nie może podołać... I świat czeka.

— Poczekam i ja. Zobacze, czego też ty dokonasz. Będzie to olbrzymie widowisko.

— Żyj iaknajdłużej, Henneway. Ale nie doczekasz. Dopiero nasi synowie odmienią postać świata. Moi syn i inni, tak samo wychowani, jak on. Trzeba wrzód stworzyć nowego człowieka, który by dźwignął zadanie, który by się nie ugiął pod brzemieniem miliardów i nie ułakł się olbrzymiej idei. Dopiero wówczas zakwitnie świat. Ale wtedy nie nie beda mieli do powiedzenia ani socjaliści ani dżentelmeni w gronostajach. My będziemy królami ziemi.

Henneway był nieco odurzony. W tych latach swojej chwały, kiedy go, jak ukochane dziecko, nędy nieszczoty całego świata, zatracił zdolność samodzielnego myślenia, zwyciężania w sporach, w czym celował niegdys. Ale zdobył się na uśmiech wyniosły.

— Przwiacielu, stałeś się przez ten czas wielkim noeta.

— Nie kłam, Henneway! Czuję nie widzę, że się wstydzisz? Ugiąłeś się. Nie wytrzymałeś swojego bogactwa. To choroba wieku. Pracowałeś, budowałeś przez długie lata w goraczce i w zapamiętaniu. Dopiero kiedyś spostrześć własną potęgę, zdiał cię strach. Uciekłeś z pola.

— Nie kłam, Henneway! Nie kłam przedemna w cztery oczy! — zawołał, widząc na twarzy Henneway'a wysiloną, szyderczy uśmiech. Uśmiech znikł, natomiast oczy stały się ponure, zle i cisnęły piorunem. Tak niegdys umiał spojrzeć na wroga dawny Henneway-zdobycwa.

W tej ciężkiej chwili Hannibal oznajmił czyjeś przybycie. Henne- way ucieszył się niezmiernie, że go to wybawi z przykrego położenia.

— Zobaczysz bardzo ciekawego człowieka. Przychodzi w sam czas, jakby jakim cudem dowiedział się o naszej rozmowie. Właśnie on tu będzie miał najwięcej do powiedzenia.

— Któż to taki?

— Doktor Hebrard, socyolog, mędrzec a mój wielki przyjaciel.

— Mogę go posłuchać, ale tu je- no tacy, jak my, mamy coś do po- wiedzenia. My jedni.

Wszedł a raczej wbiegł drobne- mi kroczkami młody, maleńki i szczupły, jak trzaska, człowieczek o olbrzymiej łysej głowie. Spojrze- nie jego ogromnie zbliżonych, jak u małpy, oczu było ostre i nieprzyje- mnie przenikliwe.

— Ależ znam pana, znam odda- wna — trzepał dość poprawnie po angielsku. Napisałem studium o dro- gach wodnych Stanów południo- wych, pamięta pan, trzy lata temu, w „Necutheth Century”? Nie mia- łem jednak szczęścia osobiście. Kil- kakrotnie za pobytu pańskiego w Pa- ryzu prosiłem listownie o pozwole- nie złożenia wizyty, ale nie miałem szczęścia otrzymać nawet odmownej odpowiedzi. Rozumiem dobrze, że w stosach listów, którymi pan jest zasypywany codziennie, a których niesposób nawet przeglądać...

— Ach, to pan napisał ów arty- kul... Pamiętam. Nie było tam ani jednego słowa prawdy. Pan w Ame- ryce nie był?

— Ach, panie. Cała Ameryka jest w naszej „Bibliothèque Natio- nale”. Właśnie my, uczeni, tem się różnimy od ludzi czynu, że możemy z odległości, a zatem obiektywnie, z całą surowością analizy, nie ulega- jąc żadnym wpływom...

— Pozwól, panie Hebrard. Spie- raliśmy się tu właśnie o znaczenie wielkich fortun.

— Życie poświęciłem badaniu tej kolosalnej kwestyi.

— Wiele też pan ma lat? — spy- tał Shurman, widząc ze zdumieniem, że młody uczoney mienił mu się w o- czach i niekiedy na moment stawał się zupełnym starcem.

— Mam lat sześćdziesiąt trzy. Ale, istotnie, powierzchowność moja wielu ludzi. Trzydzieści lat temu za- jąłem się pracą nad rodem i domem Rotszyldów. Niebawem jednak po- chłonęła mnie całkowicie Ameryka— wspaniałością i ogromem swoich zja- wisk ekonomicznych, błyskawiczno- ścią rozwoju.

— A psychologia tych zjawisk zajmował się pan? Jednym sło- wem, zadałeś pan sobie kiedy pyta- nie, jak się to odbija na ludziach? Na tych niewielu, o których narazie — zupełnie niesłusznie zresztą—gadają, że są panami świata?

— Ależ, naturalnie! Jest to mo- ja specjalność. Cały ogrom najcie- kawszych zjawisk! Kopalnia niena- ruszona. Bo jeden ja...

— Zaraz. Cobyś pan zrobił, gdy- byś się dorobił paru miliardów? Je- żeli na tej kwestyi zęby zjadłeś, to musisz wiedzieć. No, i co?

Dr. Hebrard uczynił się mło- dym, starym, poczem odmłodził ostatecznie i rzekł, wyciągając dłu- gie ramiona w kierunku Henne- way'a, gestem uroczystym, jakgdyby go prezentował całej ludzkości.

— Mamy tu przed sobą wzór idealny, niedościgłe kolosalny. Cały świat pochyła głowę... Ale jestem słabym człowiekiem... Ja? Nie wiem, co bym uczynił. Mówię szczerze.

— No, na to nie trzeba być uczo- nym, to samo by odpowiedział mój szofer... Szczerze za szczerze, pa- nie...

— Doktor Hebrard, członek Aka- demii...

— O, aż tak? Tembardziej ża- łuje. Zawsze przypuszczałem, że u- czenni niewiele wiedzą o życiu.

— Najszanowniejszy panie! Je- szcze nie czas na syntezę. Groma-

dzimy kolosalne materiały, ustala- my metody. Pieniądz ma olbrzymią literaturę, do której i ja...

— A co będzie dalej? No, za sto, za tysiąc lat?

Dr. Hebrard zestarzał się nagle, jakgdyby go przywalily te straszne okresy czasu. Bezradnie rozpostarł ramiona.

— Nauka nie zajmuje się podo- bnymi sprawami. Istnieje o tem bo- gata literatura lekka, fantastyczna... Bajki felietonowe dla tłumy...

— Moi panie, ja się ciebie o baj- ki nie pytam! Albo sam nie wiesz, albo nie chcesz gadać. Zapewne i je- dno i drugie. Otóż ja ci powiadam, że pieniądz jest wieczny! Jego potę- ga wytworzy panującą rasę, której świat się podda. A tymczasem nie- ma ludzi! Zaprawdę rośnie bogac- two, przyniata i miazdży samych tych, co je stworzyli. Trzeba sił, zdrowia, wielkiej idei. Każdy tań- cuje sobie z milionem. Ale niech dźwignie miliard! A dalej? Otóż są ludzie, co o tem myślą. To oni ura- tują świat od socjalizmu i anarchii. Ludzkość nie zniesie błaznów, któ- rzy rozsypują pieniądz na rozpustę, zetrze puszcących się, skretyniałych epigonów. Ale ukorzy się przed bo- gami świata! Ludzkość bardzo tę- skni do bogów, panie Hebrard, o czem zapewne nie słyszano w two- jej akademii...

I Shurman podniósł się wzburzo- ny, żałując po niewczasie, że aż tak rozgadał się, i to przed ludźmi, któ- rych miał za zupełnie głupich. Było jego zasadą nie mówić nic, a czynić. Spostrzegł się i roześmiał szeroko, by pokryć niezadowolenie z siebie.

Uczony zawtórował mu natych- miast dziecięcym, cienkim głosikiem. Ale Henne- way patrzył na niego po- nuro.

— No, dosyć tego głupiego ga- dania. Co będzie za sto lat, obczą inni, ale za dwa lata przekopią nam kanał! Co też mi powiesz o Pana- mie, drogi doktorze?

DCN.

ADOLF NOWACZYŃSKI.

MEANDRY.

O czem tu dumać w warszawskim bruku?
Patrząc, jak w oczach rośnie czerń robactwa,
Dzięki małactwom porasta w bogactwa,
Jak się to bractwo śmieje do rozpuku
Z siebie, rycerzów błędnych praprawnuku,
Widząc, jak błędnie jażń twego rodactwa.
Opuszczać miasto! Na wieś emigrować;
Powietrze miejskie pełne dymu mgławic
Zabójczem staje się dla polskich tchawic,
Tu się coś dusza polska zdaje psować...
...Tak to raz zaczął przy nas perorować
Pan Janusz Pinkus, właściciel Raclawic.
L'improductivité slave! Tym oto frazesem,
Jak ogonkiem wywija polski biedny bies.
Tymczasem indolencyi swej serb zrobił kres...

Czech interes zakłada ze szkłem nad Gangesem;
Bułgar się szczyci swym Cecil Rhodesem
Et restera aussi incurie polonaise.

Wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi,
Jak ojców, chłopów, bydło bije,
Jako jest w długach aż po szyję,
Jak z gospodarką swą się biedzi,
Jak pośmiewiskiem jest gawiedzi
I jak w swej autonomii żyje.

Za dużo książek drukują drukarze
U nas, a czyta się tego zamalo.
Więc co tu zaraz okrywać się chwałą,
Gdy bibliografia z blamażem pokaże,
Że to brewiarze są i kalendarze
I tomy z poezją sparciałą.

Odczyt był ilustrowany nikiącymi obrazami i zawierał bardzo ciekawe, ale i przerażające opisy, a gdy komendant mówił o niebezpieczeństwach i trudach, jakie przebyli, znalazłszy się na znacznej wyniosłości, ogarnięci śnieżycą, prawie bez żywności i opału i z myślą o czyhającej zewsząd śmierci, mimowoli poszukałam ręki Jurka, by się upewnić, że on rzeczywiście przy mnie siedzi.

W zakończeniu komendant z wielką skromnością mówił o sobie, nadmienając, że nigdy nie byłby dosięgnął 87-go stopnia, gdyby mu w tem nie dopomogli towarzysze wyprawy.

— A choć to wszystko jeden z drugiego dzielne zuchy, — dodał — muszę jednak, nie czyniąc krzywdy innym, wymienić tu młodego doktora naszej wyprawy, Jerzego Conrada. Ma on swoje własne plany i wybiera się znów pod Biegun, by przysłużyć się ludzkości wielkiem dobrodziejstwem, w czem niech mu Bóg szczęści i błogosławi.

Na te słowa cała sala zatrzęsa się od okłasków, a Jurek siedział, rumieniąc się, jak chłopak, gdy go przedstawiają przyjaciółkom dorosłej siostry.

Co do mnie, zdawało mi się, że nigdy nie równie pięknego nie słyszałam, i byłam gotowa płakać z radości.

A wróciwszy do hotelu, płakałam, ale z innego powodu. Myślałam o moim ojcu, o tem, czemu tak mu spieszno było wydać mnie za męża.

— Czemu? czemu? czemu? — powtarzałam wśród łkań.

Rozdział XLIV.

Nazajutrz Jurek wpadł do mego saloniku z paczką listów w ręku, mówiąc:

— Bardzo to było pocziwie ze strony komendanta, ale, patrz, jakiego piwa mi nawarzył.

I pokazał mi odezwy od różnych dzienników, proszące o portrety i interviewy, a zwłaszcza od jednego z wielkich londyńskich dzienników z żądaniem artykułu o celu i rodzaju zamierzonego przedsięwzięcia.

— I co ja pocznę teraz? — biadał Jurek. — Choćby o życie chodziło, nie potrafię dwóch słów do druku napisać. Pióro, to nie mój instrument. Ale ty byś z pewnością potrafiła. Szyję bym dał że napisałabyś lepiej, niż sam Robinson Kruzoe. Więc ja ci opowiem wszystko jaknajdokładniej, a ty mi z tego zrobisz artykuł. Dobrze, złota Mally?

Nie mogłam się oprzeć takiemu wezwaniu. A w głębi duszy rada byłam znaleźć wymówkę przed włas-

nem sumieniem, że nie mogę już unikać Jurka, skoro mu jestem potrzebna.

Siedzieliśmy więc cały dzień nad robotą, a choć nie było to rzeczą łatwą ująć w słowa bezładną, żywiołowe opowiadania Jurka, dałam sobie jakoś radę, i gdy wreszcie odczytałam moją pisaninę Jurkowi, był zachwycony.

— Nadzwyczajne! Czy nie mówiłem, że potrafiysz lepiej, niż sam Robinson Kruzoe.

W swoim czasie artykuł ukazał się w druku i narobił wielkiego hałasu; gdziekolwiek się zwróciłam, rozprawiano o nim, a choć jedni mówili „Mrzonki“, jak mój mąż, a inni „Brednie“, rezultat był taki, że ów wielki dziennik ogłosił publiczne zapisy w celu zebrania funduszy na uskutecznienie Jurkowych zamierzeń.

To sprowadziło mu olbrzymią korespondencję, tak, że codziennie przychodził do mnie z pliką listów, błagając, bym mu pomogła w odpisywaniu.

Wiedziałam, że narażam się na wielkie niebezpieczeństwo, torując w ten sposób drogę pokusie, niemniej rezultat był taki, że dzień po dniu siadywaliśmy w moim saloniku, odpisując na zapytania niedowiarków, na powinszowania zwolenników i na oferty pomocy dla osób, pragnących przyłączyć się do eksploracyi.

Och! co to była za radość! Jakby świt nowego jakiegoś życia! Ale największem szczęściem była mi rola opiekunki przeciwko porywom jego zbyt szczodrej natury, wiele bowiem z tych listów kończyło się prośbą o datek; on zaś nie był bogatym, a nie umiejąc się oprzeć błaganiom, byłby się poprostu zrujnował, gdybym ja go nie wstrzymywała.

Czasem też zdarzało się, że rzuciwszy okiem na jakiś list, miał go i odkładał na bok, mówiąc:

— Hm! To się załatwi później.

— Cóż to takiego? — pytałam.

— O! nie! nie! — odpowiadał.

— Pokaż mi natychmiast! — mówiłam i potem z rozradowaniem sercem pisałam kilka lodowato-odmownych słów do jakiejś zuchwałej kobiety, która próbowała grać na czułej strunie mego ukochanego chłopca.

Och! to było cudnie!... Czułam, że odradzam się w tych rozkosznych godzinach duchowego obcowania z Jurkiem! Gdybyż to tak mogło trwać bez końca!

Czasem mąż mój i Alma zaglądali do nas, a wówczas ja rumieniłam się po same białka oczu, gdy Jurek mówił swobodnie:

— Łowię ryby cudzą wędką, jak pan widzi.

— Widzę — odpowiadał mój

mąż, wsadzając monokl w oko i ukazując przednie zęby w jakimś przykrym uśmiechu.

Alma zaś dodawała:

— To właśnie coś, co nasza droga Maryjka lubi. Zdaje mi się, że wolałabyby siedzieć w tym bezsłonecznym pokoju, pisząc listy dla pana Conrada, niż asystować w lordowskiej koronie koronacyi jakiego króla.

— Zgadła pani. Bywają takie kobiety — odpowiadał Jurek, patrząc jej prosto w oczy, a gdy odeszła (śmiejąc się niby, lecz z tem samym wystraszonym spojrzeniem, które już przedtem zauważyłam), mruczał jakby sam do siebie:

— Niecierpię tej kobiety. To żmija! Chętka mnie bierze zgnięć ją, jak jadowitego gada.

Pewnego dnia Jurek wpadł do mego pokoju, po chłopięcemu rozradowany z wiadomością, że potrzebne fundusze już są zebrane i że właściciel dziennika wydaje na cześć przyszłej ekspedycyi wielkie śniadanie w jednym z hoteli. Wprawdzie będzie to uczta wyłącznie męska, ale kilka pań zasiądzie na galerji, a pomiędzy nimi i ja.

Zbyt długo już igrałam z ogniem, by teraz odmówić sobie tej niebezpiecznej przyjemności, to też w oznaczonym dniu udałam się do hotelu, cała drżąca rozradowaniem i dumą.

Śniadanie było już prawie skończone i miały się rozpocząć mowy, gdym zajęła przeznaczone mi miejsce na galerji pomiędzy dwiema młodemi amerykankami. Były one prawie równie podniecone, jak ja, i lornetując siedzących na dole mężczyzn, zapytywały się wzajemnie, który z nich jest panem Conradem, co tak pogłaskało moją próżność, żem go im wskazała, a następnie pożyczyłam sobie od nich lornetki, by przypatrzeć się mówcy, który właśnie powstał.

Był to młody jeszcze człowiek, a w oczach jego palił się ten sam ogień wyobraźni, który gorzał zawsze w żrenicach Jurka, w głosie dzwiczłała ta sama namiętna nuta entuzjasty.

Mówił, że dzień dzisiejszy otwiera nową kartę w cudownej księdze historii człowieka, że choć niebezpieczeństwa bezdennych otchłani nie dadzą się zapewne nigdy pokonać w zupełności, a wichry dąć będą w dalszym ciągu, jak im się będzie podobalo, to jednak przez poznanie jednych i drugich ludzkość potrafi w części stawić im czoło.

Po tych słowach i po złożeniu wyrazów serdecznego uznania dla Jurka, jako dla człowieka, wznosił w jego ręce toast za pomyślność ekspedycyi.

Gdy Jurek powstał, aby zabrać głos, rozległy się grzmiące oklaski, lecz ja byłam tak zdenerwowana, że ich prawie nie słyszałam. I or był również zdenerwowany, bo po kilku

słowach podzięką zaczął miętosić arkusiki mowy, którą przygotowaliśmy wspólnie, próbując czytać, lecz myląc się co chwila i gubiąc watek tekstu.

Duże krople potu wystąpiły mi na czoło; w gardle coś poczęło dłać, gdy nagle Jurek cisnął papiery na stół i rzekł zupełnie innym głosem:

— Koledzy, chciałem powiedzieć: panowie! Nigdy w życiu nie umiałem napisać mowy, a jak widziacie, nie umiem jej przeczytać, ale wiem, o co mi chodzi, i jeżeli zechcecie mnie posłuchać, to będę mówił, jak potrafię.

Poczem prostym ale jasnym i szczerym stylem żeglarza, z oczyma gorejącymi, jak błękitne żuźle, zaczął opowiadać o swoich celach i nadziejach.

W zakończeniu zaś rzekł:

— Mój szanowny przedmówca wspominał coś o dobroczynnym wpływie wielkich samotni Natury na charakter człowieka. I tak jest w istocie. I nigdzie tak człowiek nie czuje nad sobą potęgi Boga i nie garnie się pod Jego opiekuńczą dłoń, jak kiedy otoczy go zewsząd groźny bezkres, a on jest sam obcy i głodny. Nie wiem, gdzieście byli w zeszłe Boże Narodzenie, koledzy, chciałem powiedzieć, panowie; wiem za to, gdzie ja byłem. Byłem pod 85-tym szerokości, a 163-im długości, o cztery mile na południe, a o trzydzieści na zachód od szczytu Darwina. Była to właśnie ta wycieczka, którą przedsięwziąłem na własną rękę, a którą moj komendant ponad jej wartość ceni. Otóż gdyśmy tego ranka wyszli z naszych nocnych worków, jak okiem sięgnąć, ujrzelismy tylko toczące się zwały śnieżne; my zaś byliśmy na wydmuchu na siedem tysięcy stop wysokości, otoczeni zewsząd lodowcami, które nam za radzały drogę do morza.

Było nas sześciu gromady i żaden z nas nie miał wielkich kwalifikacji, aby się dostać do Raju; ale przypomnieliśmy sobie wszyscy, jak to był dzień uroczysty dla całego chrześcijańskiego świata i jak tam nasi bracia i siostry szli teraz do kościoła. Więc chcieliśmy uprzytomnić sobie, że jednak nie jesteście całkowicie odcięci od nich, i ja wydobyłem książeczkę do nabożeństwa, którą na odjeźdźnym matka włożyła mi do torby, poczem stanęliśmy wszyscy kołem na śniegu z odkrytymi głowami, obszarpani, wynędzniali, niegoleni od miesiąca, ja zaś odczytałem na głos wszystkie modlitwy na ten dzień i Laudate Dominum, i de Profundis.

I mogę was upewnić, że nam się zaraz raźniej zrobiło na duszach, ale że ostateczności zawsze się spotykają, więc i tutaj tak było, bo ledwie skończył czytać te uroczyste słowa „Z głębokości wołamy do Ciebie, o, Panie! Panie! usłysz wołanie nasze”, gdy wtem stary majtek, imieniem Treacle, wysiorowywa się na-

przód i woła: „A błogosław też, Panie Boże, naszym biednym babom tam, het, u nas”.

Jeżeli Jurek mówił jeszcze co więcej, to nikt go nie słyszał. Mężczyźni na dole obcierali nosy, a kobiety na galerii płakały głośno.

Co ja sama wyrabiałam i jak wyglądałam, nie wiem, wiem tylko, że sąsiadka, która mi pożyczyła lornetki, pochyliła się ku mnie, pytając:

— Przepraszam, że pytam, ale pani jest zapewne jego żoną?

— O! nie! nie! — zaprzeczyłam gorączkowo; lecz Bogu tylko wiadomo, jak mnie ta nazwa przeniknęła nawskroś.

Obrałam złą drogę i wiedziałam o tem. Moja duma, moja radość, moje szczęście, wszystko mnie oskarżało, i gdy tego dnia kładła się spać, miałam uczucie, iż jestem występłą kobietą.

Rozdział XLV.

Próbowałam szukać ratunku w religii. Codziennie korzyłam się przed Majestatem Niebios, błagając o przebaczenie mi zbrodni kochania Jurka Conrada.

Zacząłam wypełniać gorliwie wszelkie drobne religijne powinności, które zaniedbałam po wyjściu za mąż (jak naprzykład żeganie się znakiem krzyża świętego przy wstawaniu od stołu), odmawiałam codziennie de Profundis z myślą o mojej matce, jak mnie o to prosiła, ale nie przyniosło mi to żadnej ulgi.

Prawda, że miłość moja dla Jurka była tem, co świat zowie czystą miłością; niemniej mówiłam sobie, że, kochając go, popełniam wiarołomstwo serca.

Zacząłam chodzić codziennie do spowiedzi, ale to poczucie radosne spływającej na mnie Łaski oczyszczenia opuściło mnie. Moim spowiednikiem był staruszek, którego drżący głos zdawał się sięgać w najgłębsze tajnie mego jestestwa. Stan mój trwożył go bardzo i raził mi, bym dniem i nocą błagała Boga o umocnienie mnie przeciw pokusie.

— Zło oblega twoją duszę, moje dziecko — mawiał. — Walcz z niem, moja córko.

Próbowałam iść za wskazówkami mego duchowego ojca, ale, o! jakże to było trudno! Jurek potrzebował tylko wziąć mnie za rękę i popatrzyć mi w oczy, aby moje najlepsze postanowienia pierzchały w jednej chwili.

Wskutek tych ciągłych wewnętrznych walk zaczęłam tracić zdrowie. Już nie z rozmysłu, lecz z konieczności, przebywałam po całych dniach w moim pokoju, ale i tu miłość dla Jurka wisiała wciąż, jak groźący miecz, nad moją głową.

Moja pokojówka Price śpiewała nieustannie hymny pochwalne na jego cześć. To był dopiero pan! taki wesoly, szczery, dobry, taki mężczyzna w każdym calu, że co się tu

dziwić kobiecie, która by się w nim rozkochała bez pamięci.

Słowa jej dźwięczały mi, jak najłodsza muzyka, i nieraz brała mnie chęć zarzucić jej ręce na szyję i ucałować ją; lecz w innych chwilach strofowałam ją, mówiąc, że grzechem jest zaprzętać tak sobie myśl jedną ludzką istotą, na co Price, która była uosobieniem kobiecości, otwierała szeroko swoje błyszczące, czarne oczy.

Prawie codziennie przynosiła mi pęk kwiatów, które Jurek kupował w Covent Garden, jeszcze rosą poranną zwilżonych. Lubiłam mieć je przy sobie, lecz zauważywszy, że ich widok pobudzał mnie do tem fliwskich myśli o ich ofiarodawcy, wynajdywałam zawsze jakiś pretekst, by je do saloniku odesłać.

Po pewnym czasie, Price, pomna na moje poprzednie wykrety, poczęła mnie podejrzewać, że udaję tylko chorobę, by trzymać Jurka zdaleka i, spoufaliwszy się trochę ze mną, pozwałała sobie na różne uwagi.

— Ja bym tam tak nie potrafiła — mówiła — doprawdy, że bym nie potrafiła. Dobre to dla nas kobiet, ale mężczyźni nie rozumieją się na takich sposobach. To czyste dzieci, jak ich lepiej poznać.

Były chwile, że Price wdawała mi się wystawiczką szatana, by mnie przywieść do grzechu i prawdę powiedziawszy, działała nieraz w tym duchu. Raz naprzykład rzekła:

— Gdybym była zamężną z człowiekiem, którego bym nie kochała i który by mnie nie kochał, a ktoś inny, stokroć więcej wart od niego, czekał tylko na moje skinięcie, to bym mu nie była przeciwną. My, kobiety, musimy zawsze iść za sercem, taki już nasz los.

Wówczas złażałam ją strasznie, pytając, czy zapomniiała, że mówi do swojej pani i do kobiety zamężnej, ale jednocześnie czułam, że gniewam się nie na Price, lecz na siebie samą, ona bowiem przyoblekała tylko w słowa myśli dręczące mnie skrycie.

Leżałam już jakiś tydzień w łóżku, gdy Price weszła z listem w rękę i wyrazem triumfu w swych czarnych oczach.

— A co? mylady! Czy nie powiedziałam? Tak się pani upierała przy swoim, aż go pani przepędziła. Wyprowadził się z hotelu i będzie mieszkał na statku.

Przestraszyłam się ogromnie, lecz kazałam Price odejść, dodając, że straci miejsce, jeżeli będzie sobie tak pozwałała dalej, lecz jestem pewna, że widziała, idąc ku drzwiom, jak wzięła list Jurka, który rzuciłam na stół, i przycisnęłam go do ust.

List był bez znaczenia. Jurek domniósł mi poprostu, że jedzie do Tibury na kilka dni, by wziąć w posiadanie dawny statek, mający służyć teraz nowej ekspedycji, w dopisku jednak dodał:

„Jeżeli byś mnie potrzebowała,

daj mi znać jednym słowem, a przybędę lotem ptaka“.

— Co począć? Co począć? — myślałam rozpaczliwie. Czego tylko pożałowałam moje serce, to potępiła moja dusza i nie widziałam znikąd pomocy w tej okrutnej rozterce.

A przez ten czas mój mąż i Alma tonęli w wirze zabaw londyńskiego sezonu.

Pewnego wieczoru, gdy oboje udali się na bal przy Grosvenor Square, dostałam tak silnego ataku serca, że Price wystraszona, uwierzywszy wreszcie w moją chorobę, pobiegła do Hobsona, lokaja mego męża, by poszedł po niego i sprowadził go copredzej.

— Pójdę, ale to się na nic nie zdało — odrzekł Hobson.

Jakoż po upływie pół godziny wrócił z odpowiedzią mego męża:

„Posłać po doktora“.

Wtedy Price oburzona i nie wiedząca co począć, zatelegrafowała do Jurka na statek, donosząc, że zachorowała i pytając, jakiego doktora ma wezwać.

W godzinę potem przyszła odpowiedź nie z Tilbury, lecz z Portsmouth'u tej treści:

„Wezwać doktora H* z Brook-Street. Przyjeżdżam natychmiast“.

O wszystkim tem dowiedziałam się dopiero wtedy, gdy Price weszła do mojej sypialni, powiewając tryumfalnie telegramem Jurka, jak czemś, z czego miała prawo być dumna.

— Jakto? telegrafowałaś do pana Conrada? — zapytałam.

— A jakże — odpowiedziała Price. — Skoro jaka dama jest chora, zaś mąż się o nią nie troszczy, a jest ktoś inny, co by się dał porąbać w kawalki, byle ją paluszek nie zabolala, to, co kobieta ma czynić?

Powiedziałam jej, czego nie ma czynić. A więc przedewszystkiem nie wzywać doktora, a gdy Jurek przyjedzie, dać mu jasno do poznania, że działała na własną odpowiedzialność.

Przyjechał koło północy i Price przyprowadziła go do mego pokoju w długim paltocie, zakurczonym do niemożliwości.

Ujrzawszy go, zaczerwieniłam się i zmieszałam, bo widocznem było z jego twarzy, jak bardzo się zaniepokoił z mego powodu, a gdy się uśmiechnął, widząc, że nie byłam tak znowu bardzo chora, jak sobie wyobrażał, zawstydziałam się ogromnie.

— Pożałujesz, żeś odbył tak daleką drogę dla tak błahej przyczyny — rzekłam.

— Ja pożałuję? — odpowiedział. — Ależ, na Boga, jeździłbym codziennie dwa razy dalej, by ujrzeć cię tak dobrze wyglądającą, jak w tej chwili.

Jego błękitne oczy świeciły, jak słońce z poza chmury, i ta jego radość zabolala mnie do żywego.

Chcąc ukryć moje wzrastające

pomieszanie, zapytałam, na jaki pociąg zdążył do Portsmouth, że mógł przyjechać tak wcześniej.

— Och, nie. Nie przyjechałam koleją, bo przed jedenastą nie było pociągu — odpowiedział.

— Więc jak? — spytałam zdumiona i choć zrazu chciał się wykreścić sianem, wydobyłam wreszcie z niego, że najął samochód i przejechał siedemdziesiąt mil do Londynu w ciągu jednej godziny.

To mnie ostatecznie dobiło. Słowa uwięzły mi w gardle. Zdawało mi się, że mnie wzruszenie zadławi. Opanowawszy się wreszcie, wzięłam rękę Jurka i przycisnęłam ją do ust; a potem odwróciłam się do ściany.

Rozdział XLVII.

To już było kroplą przepełniającą naczynie, i gdy nazajutrz koło południa mój mąż wszedł do mego pokoju z zaspanymi oczyma, bąkając jakieś przeproszenie i pytając, czy doktor był u mnie, rzekłam:

— James'ie. Chcę cię prosić, żebyś mnie zabrał do domu.

— Do domu?... To jest niby gdzie?... Do Zamku Raa?

— Tak.

Zawałał się; ja zaś zaczęłam prosić go i nalegać, by mi nie odmawiał.

— Proszę, błagam, zabierz mnie do domu.

— Ha, — rzekł wreszcie — masz moje zapatrywania na tę zapadłą dziurę; ale sezon się już kończy, więc ostatecznie możemy jechać, lecz pod warunkiem, że nie będziesz się sprzeciwiała, jeżeli zaproszę parę osób, by jakoś dom ożywił.

— To twój dom — odpowiedziałam. — Rób, jak ci się podoba.

— W takim razie dobrze — rzekł wstając. — I kto wie, czy ci to nie wyjdzie na pożytek, że zaprzestaniesz tych wędrówek po kościołach i wykłękowania przed konfesyonałami, bo ci wasi spowiednicy tylko gnębią ludzi, jeżeli nic gorszego nie robią.

Wkrótce po wyjściu mego męża przysłała Alma, czulsza, niż kiedykolwiek.

— Ach, Maryjko najmiłsza, biedaczko droga, — rzekła słodko — gdybym była przypuszczała, że tak źle z tobą, nigdy nie byłabym pozwoliła twemu mężowi zostać minutę dłużej na tem nudnem przyjęciu. Ale jak to pocziwie ze strony pana Conrada, że przyjechał! To się nazywa być przyjacielem!

Po tym wstępie przyszła kolej na istotny cel odwiedzin, którego zresztą domyśliłam się od pierwszej chwili.

— Słyszę, że macie mieć gości na Zamku Raa. Twój mąż pisze już stosy zaproszeń w swoim pokoju. Prosił mnie również, i pojechałabym z największą chęcią, ale, oczywiście, nie mogę tego uczynić bez twojego

zezwolenia. Jakże? czy zaprosisz mnie również?

Cóż mogłam odpowiedzieć? Nie wiem nawet, co odpowiedziałam; wiem tylko, że Alma rzuciła mi się na szyję, wołając:

— Ach! ty anielskie, kochane stworzenie! Niech cię uściskam!

Stało się zatem. Zresztą, jakimże prawem stawałabym teraz na piedestale moralności? I co mnie to w gruncie rzeczy obchodziło? Uciekałam przed niebezpieczeństwem własnego wiarołomstwa, a nie dlatego, by uniemożliwić je memu mężowi.

Price była obecna tej rozmowie, ja zaś po wyjściu Almy nie śmiałam spojrzeć jej w oczy.

— Nic, mylady, nie rozumiem, doprawdy nie rozumiem — rzekła, wzruszając ramionami.

Nazajutrz napisałam do Jurka, donosząc mu o zamierzonym wyjeździe i zakazując mu, żeby nie tracił czasu na pożegnalne rozjazdy; w duszy jednak żywiłam nadzieję, że mnie nie posłucha.

Jakoż tak się i stało. Nazajutrz nie wyszłam jeszcze z sypialni, gdy usłyszałam jego głos w saloniku. Rozmawiał z Price, która udzielała mu swoich poglądów na Almę.

Gdy weszła, uderzył mnie dziwnie surowy i stanowczy wyraz jego twarzy, która w ostatnich czasach nabrała ogromnej ekspresji; powitał mnie jednak serdecznie i miękko, mówiąc, że dobrze robię, wracając do domu, i że ojczyste powietrze oddziało pomyślnie na moje zdrowie.

— Ale czegoż to się dowiaduję? — że i ta pani jedzie z wami?

Próbowałam zbagatelizować tę sprawę, ale mi się nie udało, bo Jurek patrzył na mnie i widocznem było, że nie dowierza moim żartobliwym słowom.

Zrazu zafrasował się i zamyślił, jakgdyby usiłując zrozumieć, czemu cierpiąc, jak mu się zdawało, nad niewiernością mego męża, sama mu do tego nastreczam sposobność, poczem rzekł nagle:

— Nienawidzę tej kobiety. To zmija. Rozdeptałbym ją, jak jadowitego gada, i jeszcze to kiedyś uczynie.

Boleśnie mi było nad wszelki wyraz postępować z Jurkiem nie-szczerze, ale iakże mogłam mu powiedzieć, że uciekam nie przed Almą, lecz przed nim?

Gdy nadszedł dzień odjazdu, mówiłam sobie, że będzie najłepiej, jeżeli pojedę, nie zobaczywszy się z nim więcej, lecz zaledwie wsiadłam do przedziału, zdjął mnie okrutny żal, że Jurek nie zjawił się, by mnie pożegnać.

DCN.

